

„Bajka o Niezgodniku”

Rzecz o wypowiedziach i konfliktach, głównie w mediach elektronicznych, ale nie tylko, czyli netykieta ubrana w bajkę i przyprawiona rozsądkiem.

Dawno, dawno temu, tak dawno, że nawet najstarsi ludzie już tego nie pamiętają, było sobie miasto. A musicie wiedzieć, że było to w czasach, w których tylko nieliczni znali pismo i umieli czytać, po świecie zaś kręciło się mnóstwo różnych utopców, stryżg, wszelkiego autoramentu zjaw i złośliwych duchów. W mieście tym mieszkali ludzie bardzo pracowici, ale którzy nie byli chciwi, dlatego pracę wykonywali szybko i dobrze, a potem mieli czas na rozmowy z innymi. Wychodzili często na rynek i wygłaszali mowy, a rynek miał tę właściwość, że nawet kiedy kilku oratorów wygłaszało mowy i wymieniało poglądy ze słuchaczami, nie przeszkadzali sobie nawzajem. Tak był ten rynek zmyślnie zaprojektowany i wykonany, że choćby w jednej części rynku była zabawa i chichoty, a w drugiej poważne dysputy, to żadne dźwięki nie wydostawały się poza krąg zainteresowanych. Wszystko szło dobrze dopóki w mieście nie pojawił się zły duch Niezgodnik. Bardzo nie podobało się złośnikowi to, co zobaczył i postanowił raz dwa rozprawić się z panującym porządkiem. Stawał tedy, ów Niezgodnik, za oratorem i kłął słuchaczy długą piką, na końcu której były małe zadziory, które wbijały się w ubrania i ciała mieszkańców albo stawał za słuchaczami i kłął piką oratora, ale tylko wtedy gdy ktoś mówił. Wiedział Niezgodnik, że ludzie go nie widzą, dlatego używał sobie do woli, a biedni mieszczaństwo myśleli, że to słowa tak ich ranią, bo czuli ukłucia tylko wtedy, gdy ktoś się wypowiadał. Małe haczyki tkwiły w ciałach i ubraniach, kłuły, drażniły, swędziały i zadawały ból. W mieście zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Mówcy i słuchacze nie mogli się skupić. Zamiast słów oratora, przy którym stali, słyszeli słowa innego referenta i komentowali tamtą mowę. Wtedy mówca otwierał ze zdziwienia usta i albo milczał albo przyganiał swojemu audytorium, które już wtedy słyszało jego słowa i obrażało się okrutnie że przygania jakoby gawiedzi. Sprawy miały się coraz gorzej. Ludzie nadal przychodzili na rynek, ale prawili sobie złośliwości i się przekrzykiwali. Młodzi mijając starych, udawali różne dźwięki albo stroili miny. Starsi wytykali młodzieży niedojrzałość. Niezainteresowani przechodnie złośliwie komentowali oracje, a komentarze rzucali w powietrze, nawet nie zatrzymując się przy deklamatorze, a Niezgodnik kłął, kłął i wykrzykiwał się w uśmiechu. Kto wie, co by się jeszcze stało, gdyby nie stary Matuzalem mieszkający w najwyższej kondygnacji wieży, który z okna mógł oglądać cały rynek. Był to człowiek bardzo mądry, który przeczytał wszystkie ówczesne księgi, a który miał jeszcze tę umiejętność, że mimo wieku widział więcej i dalej niż inni, bo nawet w przyszłość i widział też duchy. Z początku nie dostrzegł Niezgodnika, bo ten ukrywał się za plecami przechodniów, ale widział dziwne zachowanie mieszkańców, które bardzo go zaniepokoiło. Kiedy wreszcie dostrzegł złośliwego ducha zerwał się na równe nogi i... omal nie wypadł przez okno. Po pierwsze dlatego, że nie dostrzegł, że jego srebrna broda, która zwisała przez okno sięgała już prawie do bruku, a jej pojedyncze włosy były wczepione w szczeliny muru i splecione z bluszczami wspinającymi się po wieży, a po wtóre kolana odmówiły mu posłuszeństwa od ciągłego siedzenia i zachwiał się na nogach. Matuzalem od dawna już nie wychodził, bo nie miał takiej potrzeby. W mieście działo się dobrze, mógł więc studiować mądre księgi i pisać, a wszystko przynoszono mu do wieży. Teraz, kiedy krew napłynęła mu już z powrotem do głowy, sięgnął po najdłuższe nożyce jakie miał pod ręką, jednym ruchem odciął wspaniałą srebrną brodę i wybiegł z wieży, choć tak naprawdę, to tylko jego pochylona do przodu sylwetka zdradzała, że bardzo się spieszy, bo z racji wieku poruszał się z mozołem. Ale, że w mieście wszystko było dobre, to i ta sytuacja okazała się dobra, bo zajęty psotami duch Niezgodnik nie zauważył, że niezrównany mędrzec wyszedł z wieży i szykuje mu karę.

Broda nadal zwisała na murze, a stary powolny człowiek nie zwrócił uwagi złośnika, więc psocił dalej w najlepsze. Matuzalem zaś udał się do najlepszych rzemieniarzy w mieście. W mieście nie było złych rzemieniarzy, ale udał się do najlepszych z najlepszych z prośbą, by ci wykonali proce dla każdego mieszkańca miasta. Wielce dziwili się rzemieniarze, bo nie umieli robić broni. W mieście nie było waśni ani wrogów, ale że rzemieniarze byli najprzedniejszymi fachowcami, przeto zaprojektowali proce tak jak uznali za stosowne, a wykonana broń niosła daleko i celnie. Potem wzywał Matuzalem mieszczan do ratusza, ale pojedynczo, żeby nie wzbudzić podejrzeń Niezgodnika. Wyciągał mieszkańcom zadziory, których nie widzieli, zbierał do małych drewnianych pudełek, które kazał zabrać ze sobą i udzielał instrukcji jak mają postąpić dalej. Kiedy oczyścił już wszystkich mieszkańców, a przynosiła im ta czynność wielką ulgę, przyszło do wymierzenia kary złośnikowi. Matuzalem mówił każdemu, że kiedy on wyjdzie z ratusza, to wszyscy mieszczanie mają potajemnie wsypać zawartość pudełek do koszyczków w procach, ale tak żeby niczego nie uронić i wszyscy jednocześnie mają udać się na rynek, ale mają iść przed nim – najniżsi z przodu a najwyżsi z tyłu, wtedy on wysunie się w środku na czoło tłumowi i wskaże palcem gdzie należy celować. Wszyscy wierzyli Matuzalemowi, bo był bardzo mądry, a poza tym choć pudełka wydawały im się puste, to jednak coś w nich grzechotało. Duch Niezgodnik widząc zbliżający się tłum, myślał, że to będzie jakieś wielkie zebranie i już obmyślał jakiego strasznego zamieszania narobi w tym towarzystwie. Nie spodziewał się złośliwiec fortelu, bo mieszczan nie kłuły już zadziory i miny mieli zadowolone jakby szli na ucztę, a nie do walki. Wtedy Matuzalem wysunął się na czoło pochodu. Dusze nogi ugięły się pod Niezgodnikiem, kiedy go zobaczył, ale było już za późno. Matuzalem wskazywał palcem gdzie należy miotać z procy, a kolejne rzędy mieszczan wykonywały polecenie, proce zaś niosły celnie i daleko. Duch Niezgodnik poczuł się jak jeździec, który wpadnie na świeżo utkaną pajęczynę z dopiero co złowionymi komarami, które wygłodniałe tylko czekają na ofiarę i zamiast uszanować wybawiciela, wszystkie na raz wpijają się w nieszczęśnika. Tyle, że pajęczyn było wiele, bo co rząd procarzy, to sto ukłuć. Jak nie zacznie Niezgodnik pisać, jak nie zacznie uciekać i podlatywać, jak nie zacznie wyrzekać Matuzalemowi, ale wszystko na nic. Niezgodnik uciekł, gdzie pieprz rośnie albo jeszcze dalej i poprzysiągł sobie nigdy do miasta nie wracać, a Matuzalem wyjaśniał mieszkańcom, co ich spotkało. Niektórzy mieszczanie zarzekali się, że od razu wiedzieli, że to o to chodziło i że widzieli jak Niezgodnik uciekał, ale nie była to prawda. Tylko Matuzalem to widział i śmiał się przy tym szczerze, bo duch podskakiwał i ulatywał przekomicznie, ale piski Niezgodnika słyszeli wszyscy, nawet głuchy Franek przysięgał, że też słyszał.

W mieście wszystko wróciło do normy. Wokół oratorów gromadziła się tylko zainteresowana publiczność. Ci, którzy chcieli sobie powesołkować gromadzili się wokół żartownisiów, ci, których interesowały poważne sprawy słuchali mędrców. Nikt nie przygadywał bez powodu ani nie próbował zabawiać krotoczwilą tam, gdzie tego nie oczekiwano, a jeżeli, to z wyczuciem. Harmider wszczynano tylko tam, gdzie się tego spodziewano, a kto nie miał nic do powiedzenia, to milczał i wszyscy żyli długo, szczęśliwie i zgodnie, bo wszyscy pamiętali jak bardzo piekące były zadziory z piki Niezgodnika.

Jarosław Zatoń

